"Fajowa" przygoda - czyli plon wspólnego pisania (cz. 2/3) — GregoryJ

Od autora: Druga część tekstu stworzonego zespołowo przez: retro (dawczyni pomysłu), JOLA S., spawngamer, GregoryJ

Pozostało zaufać tajemniczej postaci, która swoją drogą sprawiała wrażenie życzliwej i pozytywnie nastawionej. Mały pan z dużym brzuszkiem raczył w drodze wyjaśniać, iż znajdują się w centrum zarządzania kryzysowego w związku z trzecim użyciem fajki, a ta maszkara w sali lustrzanej to gargulec pełniący obowiązki asystenta, a jego odstręczający, diaboliczny wygląd to podstawowa powinność strażnika domowych pieleszy. Wyszli na zewnątrz budynku i z tej dopiero perspektywy oczywistym okazało się, że mają do czynienia nie tyle z zamkiem, co z ogromną willą w kształcie beczki. I stało się coś osobliwego. Rezydent rzucił jakieś: "wybaczcie... minutkę", po czym zaczął okładać dworek kopniakami, i to tak zajadle, zapamiętale, że aż z sandałów posypało wiórami, a wszystkim zgromadzonym opadły szczęki. W tym czasie zdołał wyrzec sześć przekleństw w grece i cztery w łacinie, otarł pot z czoła i powrócił do przyjmowania gości.

– Co może mieć na celu demolowanie własnego domu? – Fali nie wytrzymał.

– Daję wyraz obrzydzenia względem życia w bogactwie i przepychu.

– Nie musisz już się nam przedstawiać, Diogenesie, filozofie z beczki. – doznał olśnienia Syzyf.

– Bingo! To ja, we własnej osobie. Kłaniam się niziutko. Gwoli uzupełnienia dodam jeszcze żem filantrop, śpioch i kolekcjoner relikwii kultury antycznej. Witajcie w mych progach.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego mędrzec z Synopy wkomponował się w zachodnie zbocza Olimpu? - dociekał Falisław i zajął się odczytaniem inskrypcji z tablicy powitalnej: "Willa IDYLLA. Drogi gościu - wycisz się i zasmakuj życia prosto z beczki".

– To moja letnia rezydencja. Ukryłem się przed gniewem Zeusa wprost u jego stóp, najciemniej bowiem pod latarnią. Tu wcielam w życie swe poglądy, zderzam je z rzeczywistością, próbuję siły charakteru. Zbudowałem tę bogatą posiadłość, by skonfrontować teorię z praktyką, by móc bezpośrednio wyrazić dezaprobatę wobec dóbr materialnych, trzy razy na dobę im złorzecząc. Cóż znaczy walka z zagrożeniem będąc z dala od niego? Czysta abstrakcja. Zamieszkałem więc w luksusie, by mężnie i odważnie stawić mu czoła. Myślę, że winien jestem światu krztynę poświęcenia.

– Filozof z ciebie, kolego, że nie w kij dmuchał, aż miło posłuchać. Ale my tu dźwigamy inne zmartwienia na barkach.

– Wiem. Klan despotów, co?

– No. A skąd niby wiesz?

– Wszystkim dają się we znaki. Podatki, daniny, dziesięciny i inne bździny. Ale te można by jeszcze przetrawić. Najgorsze jest to, że nasze władze staczają się po równi pochyłej i powoli pociągają nas za sobą. Na społeczny koszt urządzają sobie kazirodcze orgie i pijackie libacje. Jeśli będą coraz bardziej rozcieńczać ambrozję spirytusem, ta w końcu straci moc. Rozumiecie? Mogą nawet przestać być nieśmiertelni.

– Kurdystan! To może być punkt wyjścia do opracowania całkiem niezłej strategii! – Fali popadł w zadumę.

– Właśnie! – wpadł w słowo Diogenes. – Wspólnymi siłami może coś będziemy w stanie wskórać. Widzę, że jesteście całkiem nieźle przygotowani – oznajmił, wskazując ruchem głowy nosidełko z małymi nieborakami. – A kamień choć... posiadacie?

– Filozoficzny? Oto i on – oznajmił Fali, vel Sławek, dobywając przedmiotu.

– Czy mogę się baczniej przyjrzeć? – nalegał Diogenes, przecierając jubilerską lupę.

– Nie widzę przeciwwskazań – mruknął radośnie chłopak i podał rekwizyt.

I nastała chwila przejmującej ciszy, tak głębokiej, że jedynie bicia serc zdołały ją sprofanować, a zwłaszcza serce jednego. Tętno Diogenesa gwałtownie rosło, aż do ekspresji szalonego perkusyjnego sola, kiedy to pacjent dla rozładowania napięcia począł wrzeszczeć:

– Jasny gwint! A niech mnie wszystkie harpie osrają! Jaki tam filozoficzny? Przecież to legendarny kamień fizjologiczny! Z nerki Hydry lernejskiej! Rewelacja!

– Ale babka Jadźka wyraźnie...

– Albo ta wasza babka ma zaawansowany niedosłuch, albo jej dealer cieszy się wrodzoną wadą wymowy. Jedno z dwóch. To zabawne, ale niedawno jakiś koleś, również powołując się na babkę, chciał mi wcisnąć jakąś polityczną gnidę, która rychło okazała się potyliczną gnidą; prawdziwym rarytasem zebranym z potylicy Minotaura, co stanowi nie lada gratkę dla fana. Mam więc propozycję obopólnej korzyści. Zostaw to cacko dla mej kolekcji, a ja ci dam taki, jakiego wam trzeba.

– Zgoda! A masz może do tego instrukcję obsługi?

– Ha! Kolego! Trzymaj! Musisz mu wklepać indywidualne, dedykowane zaklęcie, będące w stanie uruchomić podstawową funkcję, czyli zamianę materii w złoto. Producent ukrył jeszcze kilka tajnych funkcji, z których jedną zdołałem zdemaskować.

– Poważnie? A możemy cię troszkę pociągnąć za język? Zdradzisz jakieś szczegóły?

– No, niech wam będzie. Kamień filozoficzny wprost fenomenalnie sprawdza się jako przycisk do papieru. Nawiasem, Archimedes przestał się do mnie odzywać za to, że ubiegłem go w tym odkryciu.

Raptem, dyskusję przerwał łoskot ciała osuwającego się na podłoże. To Syzyf, trzymając dłoń na klatce piersiowej, zwijał się z bólu w embrionalnej pozie. W padaczkowych drgawkach zdołał skłonić siniejące wargi do szeptu:

– Prędko... Mój głaz... Ja muszę... Dajcie głaz.

– Nie jest dobrze. To pewnie symptomy nagłego odstawienia - postawiła diagnozę Dyta.

Diogenes zaczął tracić zimną krew:

– Jaki głaz? O co chodzi?

– Okruch granitowego monolitu z odsłonięć późnego prekambru, wielkości niedożywionego ogra, niedbale ociosany – zreferował krótko Fali.

– Zaraz, zaraz... – Diogenes począł eksploatować intelekt. – Chyba mój gargulec aportował coś w ten deseń, tuż przed wami. Gargi! Daj cacy! Cacy daj!

I nastał furkot skrzydeł, i wiatr we włosach, i żwawe podskoki, by głaz nie zblendował stóp. A wszystko to szybko wyblakło w obliczu przyjaciela postawionego na nogi.

Diogenes uszczypnął się w podbródek i wpatrując się zmrużonymi ślepiami spytał:

– Nie może być. Ty żeś Syzyf?

– Aha. To... co? Wymienimy autografy?

Męska część ekipy wdała się w rzeczowe polemiki metodą dzielenia włosa na czworo, co nieszczególnie interesowało Dytę. Niewiasta zaspokajała ciekawość poznawczą w sobie właściwy sposób, przyglądając się bezkresnym rzędom bek, beczek i beczułek, wśród których część przeznaczono na segregację odpadów, inne na zimowe przetwory, karmę gargulca, jako skrzynkę pocztową, pralkę, ekspres do kawy i... długo by jeszcze wymieniać. Jednak pewna beczka przytrzymała Dytę intrygującym pluskaniem, bulgotaniem, jakimś osobliwym zestawem z kategorii akustyki akwarystycznej. Odsunąwszy wieko, wpatrywała się w taflę cieczy, która niebawem zakręcona wirem odsłoniła na moment nagie kobiece piersi, a po chwili rybi ogon, częstujący naszą bohaterkę sporą porcją wody. Na to heroiczna dziewica oblężyła Diogenesa pretensjonalnym słowotokiem:

– Ty bandyto! Ty chamie! Potworze! Kanalio! Natychmiast wypuść tę nieszczęsną syrenę!

Adresat wręcz wpół słowa struchlał, na kilka sekund zamarł, jakby pozował rzeźbiarzowi do wykonania pamiątkowego popiersia, a gdy pierwszy szok miał już za sobą, rozpoczął maraton mamrotania:

– Ale, jak to... tak? To... coś takie, jakby... jakieś fatalne nieporozumienie chyba jest. Mam wyrzucić z domu własną żonę?

– Żona – powiadasz?

– Partenope jestem. Poznaliśmy się z mężem za pośrednictwem sieci. Tak jakoś... poszliśmy z duchem czasu.

Dyta tymczasem, cała wykwitła czerwienią, usunęła się w cień, aby niesmak obciachu rozszedł się po kościach.

Nazajutrz rozpoczęto przygotowania do oblężenia. Beczkę z wytrawną okowitą opatrzono etykietą z napisem: "Ambrozja – nowa formuła, tradycyjna receptura, dłuższa nieśmiertelność".

Diogenes z przejęciem udzielał ostatnich porad:

– Najbardziej obawiam się węchu Cerbera. Poza tym są pewne szanse, że się nabiorą. Słuchajcie dalej...

W połowie drogi będzie gospoda " Prometeusz". Gorąco polecam. Kapitalną wątróbkę podają.

– Diogenesie! Może jednak wybierzesz się z nami? – zapytał z elementem nalegania Syzyf.

– Niestety, nic z tego. Wiecie, jak to jest – obowiązki. Żona wymaga częstej wymiany wody. Powodzenia kochani!

Tymczasem w mrocznej części mieszkalnej willi-beczki, w takim jej fragmencie, który można by uznać za spowitą mrokiem piwnicę, ciszę zmącił najpierw cichy dźwięk popukiwania w deski, by nagle bez ostrzeżenia zmienić się w jednorazowy huk. Sypnęło drzazgami z rozbijanego drewna i kurzem, który gdy opadł ukazał zbrojne postacie zakutych w stal hoplitów – wojacy, dzierżąc w dłoniach krótkie, stalowe miecze i niewielkie tarcze, lustrowali pomieszczenie przyjmując bojowe postawy. Gdy sprawdzono, że jest tam pusto, z dziury prowadzącej ku czeluści zionącej czernią wynurzył się najpierw żołnierz w ozdobnej zbroi i widać było, że szarża jego najwyższa. Po chwili zaś wyłonił się sam Hades…

– Hannibalu – rzekł uroczystym głosem Hades, położywszy dłoń na ramieniu dowódcy – synu Lectera, tę misję na wzgląd twych zasług tylko tobie powierzyć ze spokojem mogę. Musisz odzyskać kołyskę ze smokochomiczym miotem… Losy naszego królestwa od nich zależą. Opornych wyciąć, Afrodytę… – tu zawahał się chwilę rozmyślając głośno – wychędożyć i ubić, czy ubić i wychędożyć? Hmm… Hefajstos by się *vcurvus maximus*… – i pewny swych myśli dodał: – Ostawić przy życiu, lekko można sponiewierać. No! Do dzieła! – Pchnął górę mięśni ku drzwiom prowadzącym na powierzchnię budynku.

Dowódca wskazał prawą ręką kierunek swym żołnierzom, a ci w bojowych postawach cisnąć się zaczęli ku okrągłym drzwiom, zza których wyzierały jasne promienie rzucane przez oświetlające dom pochodnie.

Hades stał lekko przygarbiony póki ci nie uchylili wrót i nie zniknęli bezszelestnie za nimi.

Wtedy to z dziury wyłoniła się nowa, przerażająca postać – olbrzymi trójgłowy pies, powarkujący cicho, z przekrwionymi ślepiami, śliną cieknąca obficie zza masywnych, zwartych szczęk.

Stanął u boku Hadesa, zaraz potem przysiadł. Posturą swą nadal górował nad bogiem, dotykając sklepienia pomieszczenia. Przemówił nagle ludzkim głosem:

– Nie mogą się dowiedzieć, o co tu naprawdę chodzi. Rozumiesz?! – warknął na Hadesa.

– Ależ Panie! – Wyraźnie wystraszony władca podziemi skurczył się w służalczej pozie. – Nimi zajmę się później i to osobiście…

Cerber oblizał się zadowolony.

– Pamiętaj, Dragocriketiny musimy mieć jak najszybciej u siebie. Jeśli ON się dowie, że nie będzie ich na ceremonii… Zanim mnie dopadnie wiedz, że zdążę rozprawić się z tobą…

***

ON.

Otoczony boginkami karmiącymi go kiściami winogron lustrował przepowiednię, która sprawiała mu i radość:

„Bóg wojny w pożodze zagóruje…”

I smutek:

„… a potem się rozchoruje”.

Ares nieskory był do ulegania ludzkości, ani tym bardziej do poddania się jakiemuś chłystkowi, nie wiadomo skąd przybyłemu i jego (pożal się ojcze Zeusie) kompanom. Co prawda Afrodytę to by.. wielokrotnie wychędożył… ale Syzyf?

Przybranie postaci Zbynia od Oborniczaków było najprzebieglejszym pomysłem, na jaki ostatnio wpadł. Ale, że Dyta go nie rozpoznała…

Irytowało go to, że nie był tak kochany przez ojca jak Atena. Bycie gorszym dzieckiem nadal napawało głębokim smutkiem. Nie trzymano go dostatecznie długo na kolanach i nie obdarowywano wymyślnymi podarkami. To ona zawsze miała lepszą zbroję i to jej ojciec kibicował w walce wręcz. A Ares… przywykły do mordobicia na polu walki skupił się na zemście za wielowiekowe poniewieranie, tylko nie wiedział, na kim bardziej: na ojcu, czy na matce? Padło na ludzi? Wszak byli tacy słabi i te ich nałogi. O, na przydał taki Syzyf - zabrać mu kamyk i niknie. Umiera.

A ojciec? Jakież byłoby jego zdziwienie, jakiż szok, gdyby to on zdobył to, na czym Zeusowi tak bardzo zależy. Gdyby to Ares był w posiadaniu jednej z najpotężniejszych broni, które przewidziała Wyrocznia? Gdyby to Ares był prawowitym właścicielem Dragocriketinów i gdyby to wreszcie Ares stał się ich panem, podczas ceremonii.

Gdyby… Zabrał maleństwa, gdy się wykluły, nie zyskałyby pełni możliwości. Wyrocznia głosiła to w aneksie, który po odczytaniu zapiwszy nektarem zjadł.

Treść miał następującą:

„Ukochać je musi z muszli narodzona,

cudzoziemskiej fajki aromatem uwiedziona.

Stwory owiane z innego świata mgłą

Zyskają nieograniczoną moc, po czym zasną.

Chronione przez kamienioturlającego

rozdmuchają swoje potrójne ego.

Tak, że tytani im nie dorównają

bo znacznie większą od nich siłę zyskają!”

Podczas, gdy Ares deliberował nad napotkanymi zaszczytami, co będzie, gdy w jego ręce wpadną pomioty smoczycy i chomika, Hannibal wraz z hoplitami uparcie parł naprzód. Wszystko, co napotka po drodze miał zamiar zrównać z ziemią. Jednego nie mógł przewidzieć, że beczkowe domostwo ma gospodynię,

która swym głosem nie tylko może pozbawić ich oręża, ale i sprawić, że utracą wolną wolę. To przeświadczenie, było niczym czarna gwiazda na nieboskłonie… Znak wyraźnego niebezpieczeństwa. Groza zawisła w powietrzu. Nigdy wcześniej to mu się nie zdarzało. Ale nie było odwrotu.

– Nie mnie opuszczać ręce. Nic i nikt nie pozbawi mnie woli, nie uczyni bezbronnym – zagrzmiał, podnosząc wysoko w górę, zaciśniętą w pięść dłoń.

Zamarł w bezruchu, z daleka wyglądał jak marmurowy posąg. Dobrze to wróżyło, dawało nadzieję… Stał się pogodny, zadowolony.

– To ja trzymam kamień! Na zawsze! Nikt mnie nie zatrzyma!

Nagle ogłuszająca muzyka rozbrzmiała wokół, zaczął kręcić się silny prąd…

***

Maszerowali dziarsko, później zaledwie pośpiesznie, aż w końcu zaczęli się wlec ….

– Gdzie ta cholerna gospoda?! – zapytał zziajany Syzyf, tocząc swój ukochany klamot po leśnym dukcie (woleli unikać drogi państwowej A1 aby nie wzbudzać sensacji) zaorywał tym sposobem drogę. Podążała za nim reszta drużyny, przyjąwszy pozy biegaczy po ukończonym maratonie,.

Wreszcie przed ich oczami ukazała się leśna polanka zalana światłem słonecznym, pełna motylków, ćwierkających ptaków, rajskich kwiatów i bylin.

A pośrodku niej stała na kurzej nóżce obłożona eternitem olbrzymia chatka z napisem „Prometeus” i logo sępa wyrywającego wątrobę.

– Nareszcie! – Falisław westchnął z ulgą. – Przeszliśmy już ze dwa kilometry, czas na odpoczynek.

– Gdyby nas Dyta mogła pomieścić wszystkich na pegaza… – rzekł rozmarzony Syzyf.

Ta wzruszyła ramionami:

– Po pierwsze przegląd mu już wyszedł, a po drugie z głazem by cię nie wpuścił, bo nie ma homologacji. Musiałam go zostawić u Diogiego…

– Nazwa zachęcajaca… dobrze, że nie Alien. Covenant – skonstatował Syzyf.

– Eee, gadasz. Kilka scen było niezłych – odparł Fali.

Dyta nie słuchając ich, wspięła się po szerokich drewnianych schodach i pchnęła drzwi do gospody.

Stanęła w progu zdziwiona. Nic nie przypominało wnętrza, którego się spodziewała. Miało służyć odpoczynkowi, a tu nic z tego.

– Niech kłamcę na ziemię powali! Widzicie? – krzyknęła, pokazując na dziwny czarny tłum, kłębiący się w środku. Na widok tej egzotyki jej twarz stała się bladoróżowa, z każdą sekundą bledsza. Jak to kobieta – nie znosiła karaluchów, a te były wielkie jak z obcego świata. – Już po nas – szepnęła przerażona.

Nogi jej drżały.

– Nie jest tak źle! Dyto, nie jesteś sama, przyjaźń jest warta najwięcej. Coś z tym zrobię, nie mamy wyboru. – Fali pocieszył ją jak umiał.

Widać było, że nic go nie pokona, poczuł w sobie lwa. Wiele się nie namyślając rozpalił wielką pochodnię. W mgnieniu gospoda zrobiła się pusta. Wielkie żuki uciekały z gospody wszystkimi otworami, nawet przez okna.

– Fali, chyba jesteś czarodziejem? – Dyta była wyraźnie zauroczona męstwem chłopaka.

– No, chyba nie wiedźmą. One nie lubią światła, nie wiedziałaś? – Roześmiał się.

Wszyscy mu wtórowali, może z wyjątkiem karczmarza, który jak najbardziej wyraził wdzięczność za błyskawiczną dezynsekcję, lecz depresja okrutna tarmosiła jego wnętrze, co wyraził w krótkim oświadczeniu:

– Jestem już skończony! Jak można tak potraktować człowieka, świnię podłożyć, napuścić robactwa i wezwać sanepid - no, jak!? I jeszcze, rzekomo, w moich produktach marskość wątroby? To już przegięcie pały! Ale, odgrażał się, oj… Z dawien dawna się odgrażał, że przejmie ten interes, a mnie pośle na bruk.

– Kto taki? – Fali wykazał zainteresowanie tematem, nie przerywając przygotowań do postoju. – Kto śmiał? – Ponowił pytanie i rozglądał się za dogodnym miejscem do zaparkowania beczki okowity, udającej ambrozję zresztą (czego nie zaszkodzi przypomnieć). – Trudny teren – podsumował –Diogenes miał rację, że beczkowozem ani rusz. A wracając... Któż to nastaje na twój przybytek, gospodarzu?

– No, kto? Kronos!

– Kronos? Szefem kuchni? A cóż niby taka patologia mogłaby zaoferować w sektorze gastronomicznym? – Fali uśmiechnął się cynicznie, jednak rychle spoważniał widząc miny pozostałych. Nastała nieznośna, grobowa cisza. Wszyscy przecież słyszeli o tym, że Kronos pożera własne potomstwo.

– Idę się trochę przewietrzyć, nie przepadam za czarnym humorem - stwierdziła Dyta, która dla odstresowania nawykła czegoś szukać: może grzybów, może guza? Czegokolwiek. Nieważne. I wyszła, ponownie zostawiając męskie grono na pastwę testosteronu.

– Tego już stanowczo za wiele! – Syzyf uległ negatywnym emocjom. – Szczyt barbarzyństwa! – podsumował, choć nie było do końca jasnym, czy chodziło mu o pomysłowość bogów, czy o jakąś nową nazwę dla Olimpu. – Albo oni, albo my! Wkrótce karty zostaną rozdane i światłość nastanie, względnie ciemności egipskie, jedna cholera wie, ale... – nagle przerwał, zatrzymany dźwiękami fanfar brzmiącymi tak donośnie, jakby z podłogi gdzieś dobiegały, bo aż w stopy łaskotało.

– Fali! Patrz! - wykrzyknął i wskazał palcem przez okiennicę.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

GregoryJ, dodano 12.12.2017 10:04

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.